

## Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego

### Spotkanie w synagodze<sup>1</sup>

Miałem wrażenie, że już nigdy nie będzie mi dane słyszeć muzyki. Gdziekolwiek się udałem spotkałem przerażającą ciszę ukrytą w zakamarkach ruin zupełnie zniszczonego miasta. Gdy zapomniałem już czym jest nadzieja i spokojne, normalne życie - usłyszałem ją, jakieś delikatne dźwięki, które obudziły we mnie wspomnienie dawno minionych czasów... To muzyka zwabiła mnie do tego domu, nie byłem w stanie oprzeć się jej wołaniu... Gdy wchodziłem schody skrzypiały jakby ostrzegając, że każdy kolejny krok grozi upadkiem. Zachłysnąłem się atmosferą tego starego budynku, z przyjemnością wdychałem intensywny zapach starego, wilgotnego drewna. Wspiąłem się po schodach w rzeczywistości nie wiedząc dokąd one prowadzą. Nagle po prawej stronie zobaczyłem uchylające się drzwi, z których wyłoniła się (naprawdę) stara, ale lekko poruszająca się kobieta trzymająca na sznurku koziołka. Przyznam, że nie potrafiłem ukryć zakłopotania i wielkiego rozbawienia. Kobieta spojrzała na mnie wyniośle i zgrabnym gestem wskazała drzwi po lewej stronie...

Zapukałem, ale nikt nie odpowiedział, zebrałem się na odwagę i wszedłem do *środk*a. Uderzył mnie mrok panujący w pomieszczeniu, małe okna, mało przestrzeni i wszędzie poukładane książki... Jakby ktoś urządzał bibliotekę. Na środku pokoju stał stół, wokół którego siedziały zagłębione w mroku postacie... Zaciekało mnie to niezwykle zebranie, więc cicho usiadłem przy szafie z książkami. Siedziałem tak kilka minut, ale nikt się nie poruszył, nie odezwał ani słowem. Poczulem już zniecierpliwienie, gdy nagle, nieoczekiwanie ciszę przerwał starszy mężczyzna nerwowo obracający w dłoni monetę, w tym mroku nie mogłem dojrzeć rysów twarzy tego człowieka. Jednak jego głos był mi znajomy...

- Oczywiście, że doskonale pamiętam dom rodzinny. Ojca, matkę i rodzeństwo. Tak jak większość chat nasza także zagłębiona była w ziemi. Potem, gdy wiele tułałem się po świecie

---

<sup>1</sup> Praca nagrodzona (drugie miejsce) w konkursie „Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego”

z sentymentem wspominałem naszą jednoizbową chatę... A po niejednym atlasowym dywanie stąpałem. I ten piec gliniany, który niczym najważniejszy członek rodziny zajmował centralne miejsce w chacie. Pamiętam, że ojciec narzekał, iż ten piec jest w większym poważaniu niż on sam. Myśmy zaprzeczali, ale każdy z nas doceniał znaczenie ciepłej stawy i przytulnego kąta. A jeść się chciało, bo pracowaliśmy od wschodu do zachodu słońca. Uprawianie pola to ciężka praca, ale dająca zadowalające plony. Jeszcze wtedy nie zdawałem sobie sprawy - jakim dobrodziejstwem jest tak żyzna gleba... Pewnego dnia nasza rodzina obchodziła szczególnie święto. Ojciec przyprowadził do izby bogato ubranego mężczyznę, który w zamian za nasze gliniane garnki zaoferował piękne wilcze skóry, których potem zazdrościła nam cała wieś. Z czasem przez naszą osadę przejeżdżało coraz więcej kupców, a po śmierci ojca ja zajmowałem się wymianą towarów. Zauważałem zmiany w codziennym życiu, nasza osada stała się naprawdę ważnym ośrodkiem kupieckim stojąc na drodze traktu prowadzącego z Azji do Europy... -

Siedziałem zasłuchany w melodyjny głos starca. Nagle jego potok słów został przerwany przez dźwięk spadającej ze stołu monety. Spojrzenia wszystkich zebranych skierowały się na podłogę. Mężczyzna ożywił się jakby przypomniał sobie jakąś odległą historię związaną z tym niepozornym krążkiem...

Tę monetę otrzymałem od pewnego kupca, przyjaciela, gdy opuszczałem Lublin, by zasmakować tego życia, o którym wciąż słyszałem od przejeżdżających kupców. Nie przeczuwałem wtedy, że powikłane drogi życiowe sprowadzą mnie do tego miejsca dopiero w 896 roku, w pięćdziesiąt lat po jego opuszczeniu. Nigdy człowiek nie wraca do tego samego miejsca, z którego wyruszył... Gdy Wróciłem to już nie była ta sama tak tętniąca życiem osada. Mniej ludzi, życie już nie takie rytmiczne jak dawniej, już nie takie przepojone orientalną gwarą kupców... Jakiś zastój, cisza...

Poczułem, że na czym skończył swą opowieść tajemniczy gość. w tym samym momencie z tego półmroku wyłoniły się dwie postaci. Wcześniej ich nie zauważyłem, bo siedzieli w pewnym oddaleniu od reszty zgromadzonych. Jeden z mężczyzn zabrał głos. Po chwili zrozumiałem kim był nieznajomy, czarne pejsy współgrały z długą brodą i czarnym nakryciem głowy. Jaki dumny jest ten Żyd - pomyślałem.

-Jeżeli mógłbym wtrącić kilka słów... Chcę opowiedzieć o pewnym dniu... 15 sierpnia 1317 roku. Wszyscy mieszkańcy zostali zebrani na Rynku. Zresztą już od rana panowało ogólne poruszenie. Podawano sobie wieść z ust do ust. Tego dnia Lublin stał się prawdziwym miastem. Otrzymaliśmy wtedy z rąk krakowskiego księcia Władysława Łokietka prawo magdeburskie, co oznaczało wyłączenie nas spod władzy administracyjnej i sądowej wojewody sandomierskiego i kasztelana lubelskiego. Bardzo się ucieszyłem wiadomością, że mój bliski przyjaciel, Maciej z Opałowa,

zarządca małopolskich dóbr książęcych został wyznaczony przez Łokietka wójtem... A wójt to była osoba powszechnie poważana, bo w jego ręku skupiona była główna Władza sądowa. Wiwatowano i cieszą się, a ogólna zabawa trwała aż do białego rana. Przychylność władcy dla naszego miasta była ogromna. Oprócz przywileju lokacyjnego miastu zostało nadane sto łanów gruntu ziemi, dla lepszego zagospodarowania. Świetność miasta nie trwała jednak długo. Rok 1341 pozostawił trwały ślad w mojej pamięci. Jedyne, co pamiętam to dym... ogień gryzący w oczy, żywe pochodnie ludzkie... krew... śmierć. Rozpacz. Pamiętam, gdy wybiegłem z domu wywabiony ogólnym poruszeniem. Zobaczyłem galopujące przez środek miasta konie i jeźdźców, których nigdy dotąd nie spotkałem w tych stronach. „Tatarzy!” - tylko to jedno słowo wyrwało się z mojego gardła.

Rozejrzałem się wokół- Ludzie uciekali w popłochu, często dosięgani przez precyzyjnie wypuszczane strzały Tyle pamiętam, to wspomnienie wywołuje nadal ból. Oczywiście polem zaczęło się odbudowywanie miasta... Jak budować wszystko od początku.

Mimo wcześniejszych wzajemnych antagonizmów, które już w tym okresie zaczęły się pojawiać między nami i Polakami, wszyscy zgodnie rozpoczęli odbudowę. Były to dni prawdziwej przyjaźni i wsparcia, bo cierpienie jednocy. Miasto nie zostało osamotnione w swoim wysiłku. Kazimierz Wielki postanowił zabezpieczyć miasto przed kolejnymi napadami. Poczuliśmy się bezpieczniejsi, gdy otoczyły nas mury obronne.

Wszyscy byli pełni entuzjazmu j inwencji- Za radą poważanego rabina od strony zachodniej na trasie traktatu krakowskiego - wystawiono jedną z dwóch bram miejskich, którą z czasem zaczęto nazywać „Krakowską”. Druga brama zwana „Grodzką” stanowiła wyjście z miasta w stronę grodu w kierunku wzgórza zanikowego. Plan naszego miasta tworzył nieregularny kształt gruszki...

Znużyła mnie ta opowieść. Jednak zebrani słuchali w napięciu jakby rozmyślając czyja teraz kolej na opowieść. Poczulem się zmęczony monotonnym tonem tego prawie historycznego wykładu. Podeszedłem do okna. Nikt nie zwrócił uwagi na mój spokojny spacer po pokoju. Wszyscy zbyt mocno byli zaangażowani w odtwarzanie zastygłej we wspomnieniach historii.

To, co ujrzałem za oknem na nowo przeraziło mnie i zabrało nadzieję. Pamiętam, gdy zobaczyłem to po raz pierwszy... Pusta przestrzeń, piasek, dym i tylko ruiny tętniącego niegdyś życiem miasta. Patrząc na to pustkowie traciłem resztę nadziei. Która gdzieś delikatnie tliła się w moim sercu.

Nie ma przyszłości... Nie ma perspektyw. Tylko koniec” - pomyślałem po chwili zadumy. Nagle całe to zebranie wydało mi się zupełnie absurdalne, szalone i irracjonalne.

Dopiero po latach odkryłem prawdziwy cel tego tajemniczego zgromadzenia. Tej zawziętości

w opowiadaniu i napięcia i wiary i nadziei... Jakaś ponadczasowość towarzyszyła temu zebraniu. Ludzie z różnych epok zebrali się, by z ruin i pustyni wskrzesić na nowo duszę Lublina, wspólnym wysiłkiem odnaleźć zagubioną kulturę, zagrzebaną w ruinach i wspomnieniach.

Ci ludzie zdawali sobie sprawę, jaką mają szansę. Duch Historii sprowadził ich tu i dał obietnicę; gdy każdy z tych ludzi opowie swoją historię powstanie całość historii miasta Lublina. Od jego początków aż po kataklizm. Miasto powstanie z ruin. I dokonali tego...

Powróciłem na swoje miejsce za szafą, bo pierwszy z Żydów skończył swą opowieść. Był wyraźnie zmęczony. Czuję, że oddałby wiele by wrócić tam skąd przyszedł. Wtedy odezwał się jego towarzysz...

- Nigdy nie zrozumieć niechęci Polaków względem Żydów. Zawsze zastanawiałem się nad jej podłożem. Przypuszczam, że postrzegali nas jako odizolowaną od reszty społeczeństwa grupę... czy może wyspę, a przecież stanowiliśmy nierozdzielalną część Lublina i tego kraju. Nawet choćby poprzez sam język wyrażaliśmy chęć kontaktu z innymi mieszkańcami tego miasta. W tym momencie dostrzegłem pewne zawahanie się Żyda. lecz trwało to tylko ułamek sekundy. Zdecydowanym ruchem sięgnął po książkę, która do tej pory spoczywała na stoliku przy oknie, a jego palce nerwowo zaczęły przewracać kartki tej, jak mi się zdawało sędziwej wiekiem książki.

Zaczął czytać, a w jego głosie wyczuwało się podniecenie i niewątpliwą dumę.

*W dawnej Polsce Żydzi posługiwali się głównie dwoma językami. Panującym językiem w liturgii synagoidalnej i w literaturze religijno-filozoficznej był język hebrajski. Mową potoczną Żydów polskich od XII-XIV wieku był język żydowski /jidysz/, jednak w kontaktach z chłopami i szlachtą Żydzi posługiwali się językiem polskim i innymi językami słowiańskimi, a z mieszczanami porozumiewali się również po niemiecku.*

W trakcie czytania jego głos przybrał na sile, a mimika twarzy zdradzała duże emocje. Miałem wrażenie, że wypowiada to, o czym myślał już od dawna.

- Jestem pewny, że niewielu pamięta jaki dorobek intelektualny wnieśli Żydzi do polskiej kultury... Byliśmy uważani za naród Pisma i Książki, a w Lublinie mieściło się ważna uczelnia talmudyczna. Sam miałem okazję uczestniczyć w jej wykładach. Jednak to nie literatura, a raczej medycyna była pomostem łączącym dzieje Żydów i Polaków. Żydowskie lekarze cieszyli się ogólnym poważaniem w społeczeństwie. Tak, niewątpliwie byliśmy nierozdzielnie związani z tą ziemią, tradycją, a przede wszystkim ludźmi. Muszę przyznać, że Lublin był jednym z tych miejsc, gdzie w pewnym okresie wiodło nam się naprawdę dobrze. Jednak choć miasto było punktem spotkania wielu kultur, wielu narodów to... - mówca zawiesił na chwilę głos, jakby niepewny czy jego słowa są właściwie

rozumiane przez słuchaczy, a może ta cisza miała podkreślić znaczenie wypowiedzianych zdań... - tak właściwie nigdy nie mieliśmy okazji się bliżej poznać. To brak czasu czy brak chęci, a każdy był zamknięty w kręgu własnych zdarzeń. Myślę, że wszyscy uciekaliśmy przed tym, co nieznanne. Obcość budzi lęk. A mogliśmy zrobić tak wiele, podzielić się doświadczeniami, kulturą, tradycją... Ja także mogłem zrobić więcej, by zniszczyć ten mur niewiedzy i obojętności. Dlaczego nie skorzystaliśmy z tej wyjątkowej okazji, aby bliżej się poznać? - To dramatyczne pytanie zmało tak spokojną dotąd i jakby senną atmosferę, jakiś żal, napięcie... Sobie samemu miałem także wiele do zarzucenia i myślę, że nie byłem osamotniony w swoim uczuciu. Żyd podniósł na chwilę oczy na zebranych, w zamyśleniu popatrzył na mnie i mógłbym przysiąc, że oczekiwał odpowiedzi. Nie padło jednak żadne słowo.

Chwilę głębszej refleksji przerwał cichy, spokojny głos. Po prawej stronie, przy samym kominku siedział niepozorny przygarbiony człowiek. W półmroku panującym w pokoju zdołałem dostrzec jego twarz i piętno przeszłości odcisnięte przez tragiczne doświadczenia. Zawsze zwracam uwagę na ludzki głos, jego zaś był słaby i znużony. Mówił bez entuzjazmu, spełniając po prostu swój obowiązek, żadnego zaangażowania, żadnych gwałtowniejszych uczuć. Wyróżniał się na tle zgromadzonych.

- Miewam dziwne sny. Koszmary, które wciąż na nowo dręczą mnie na jawie i we śnie. Tamte wydarzenia wciąż mi towarzyszą, są jak żywi ludzie. Widzę pola, wielkie, puste i szare. Sen nabiera realistycznych konturów. Widzę rzędy baraków jeden podobny do drugiego, jak bracia bliźniacy. Idę wzdłuż niech i boję się. Strach paraliżuje moje ruchy, ale wciąż idę. Najgorsza jest ta szarość, szarość i popiół. Nie mogę dociec ich pochodzenia. Baraki przechodzą w drogę, biegnę. Biegnę co sił, chcę uciec, a wszędzie druty, a potem twarze, rzędy twarzy, miliony twarzy. Czuję, że tracę zmysły, każda podobna do drugiej, taka szara, taka sina, jak siostry bliźniacze. A następnie światła omiatające swym snopem moją postać, druty, hełmy, psy. Światło uderza mi w oczy i widzę mury. Dotykam ich, są wilgotne i lodowate, słyszę przeraźliwe jęki. Przez zakratowane okienko dostrzegam zarys baszty i kaplicy. Jęki wzmagają się, przeradzają w ogłuszający krzyk, krzyk bólu, strachu i bezsilności. Nie mogę jego znieść, czuję, że osuwam się w wielką, czarną dziurę, otchłań bez dna.

Budzę się pełen przerażenia, krzykiem na ustach i nie mam na tyle odwagi, aby znów zasnąć. Zawsze widzę to samo... Moje dziejowe przekleństwo... Przekleństwo Lublina. Zamilkł. Ktoś lekko poruszył się na krześle i z głębi pokoju popłynęły słowa Poety:

*Zegary, twarze nocy niewesołe,  
hasło podają: północ, północ!*

*Dołem  
place konopne, lniane,  
ulice – długie mroku czółna,  
lamp łańcuchami spętane.*

*U krańca Lublina czworokąt czarny,  
szumem poematów wiatr skanduje.  
Klony, brzeziny, kasztany, tuje  
obsiadły wyspę umarłych.*

*Aleje głuche mamrocą nocą jak rynny.  
Blask białej gwiazdy samotnej opiera się o cień,  
o bluszcz, żałobny barwinek,  
paprocie.*

*Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo  
stanęły na piersiach trumien.  
Pieje kogut.*

*Napisy z bramy cmentarza w pamięci zakarbuj, zatnij:  
Oto teraz w proch zasnę – z prochu wstanę w dzień ostatni...*

Oczy zebranych zwróciły się teraz, na mężczyznę otulonego włochatym kozuchem.

„Ten ze wschodu. Rusin może.” - przemknęło mi przez głowę, Lublin był zawsze jednym z moich ulubionych miast, a muszę przyznać, iż bywałem w wielu stronach i niejedno widziałem. Zawsze można było użyć tam życia. Wszak już od końca XIV wieku, kiedy to Litwa prowadzić mogła swobodny handel z kupcami lubelskimi, a prawo zobowiązywało wszystkich kupców przejeżdżających ze wschodu na zachód do wykładania swoich towarów na sprzedaż, Lublin przeżywał prawdziwy okres świetności. Z tego powodu zawsze panował tam gwar, tłok, co sprzyjało zabawie, ale również i ważne interesy można było tam ubić i nowinek ze świata usłyszeć co niemiara. Napływali kupcy z Turcji, Armenii, Wołoszczyzny, Francji i Włoch, ściągnięci sławnymi jarmarkami lubelskimi. Spotykały się tutaj na równi ludy chrześcijańskie i pogańskie. Zdarzyło mi się nawet spotkać Ormian, Tatarów i kupców Arabii. W obrębie murów żyły rozmaite narody. Ludzie witali się i żegnali mijając Bramę Krakowską, Grodzką, ulicę Złotą, Szeroką, Rybną. Rynek

tworzył niepowtarzalny koloryt barw i zapachów kadzideł... No i unia lubelska zawarta między Polską i Litwą, która na wiele wieków związała te narody ze sobą.

Potok jego słów przerwała muzyka. Znowu ją usłyszałem ale tym razem była wyraźniejsza.

To muzyka wciągnęła mnie w to mistyczne spotkanie, była początkiem wszystkiego, sprawcą postępu i towarzyszem do końca... Jednocześnie wprowadziła mnie w jakąś odmienną rzeczywistość.

Wydawało się, że wszyscy zabrali już głos. opowiedzieli swą historię... Atmosfera przesycona była napięciem i jakimś irracjonalnym oczekiwaniem na zmianę... Czy przepowiednia się urzeczywistni?

Czegoś brakowało. Wszyscy skierowali wyczekujący wzrok na Czechowicza i on zrozumiał...

*Kamienie, kamienice,  
Ściany ciemne, pochyle.  
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko.  
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę –  
jak perła  
upadnie w rynku miskę –  
miska zabrząknie.*

*W płowej nocy,  
Po katach nisz głębokich,  
po bram futrynach i okien  
załamany,  
bez mocy,  
cień fijołkowy ukłęknie.*

*Gwiazdy żółte, które lipowy żar ściągł.  
Lecą – kurzawą – lecą,  
firmament w złote smugi marszcza,  
za Trybunałem  
na ślepych szybach świecą  
cichym wystrzałem.*

*Noc letnia czeka cierpliwie,  
czy księżyc spłynie, zabręknie,  
czy zejdzie ulica Grodzką w dół.  
on się srebrliwie rozplywa  
w rosie porannej, w zapachu ziół.*

*Jak pięknie!*

Poeta zakończył... I nie zdarzyło się nic spektakularnego, żadnych chórów anielskich, trzęsień ziemi, dymu. żadnych metafizycznych światła. Tylko cisza, spokojne milczenie i nadzieja, że przepowiednia o zmartwychwstaniu spełni się. Najpierw odżyją wartości, potem odrodzi się kultura, z niej powstanie sztuka, literatura... miłość. Życie w wróci do miasta. I z tą nadzieją opuściłem ten pokój... Wierzyłem w Ducha Historii...

Schody skrzypiały w ten sam charakterystyczny sposób gdy schodziłem w dół...

### **Bibliografia:**

1. Dzieje Lubelszczyzny, t. III, V, VI, oprac. S. Kuraś, J. Kłoczowski, T. Mencil, Warszawa-Łódź 1983.
2. J. Czechowicz, *Wiersze zebrane*,. Warszawa 1986.
3. J. Czechowicz. *Przez Kresy*, Kraków 1994.
4. *Historia miasta Lublina*, Lublin 1982.